

## STANISŁAW GRONOSTAJSKI

---

Plutonowy Stanisław Gronostajski, rocznik 1905, rolnik, żonaty.

---

Zostałem aresztowany przez NKWD 16 marca 1940 r. w rodzinnym domu, do którego wróciłem z niewoli niemieckiej. Podczas aresztowania dokonano w mieszkaniu rewizji, szukając broni. Nawiasem mówiąc, rewizja była pobieżna, a podstawą mego aresztowania było to, że byłem Polakiem, dowódcą plutonu Krakusów, podoficerem armii polskiej i wiele innych zarzutów tego rodzaju.

Od chwili zaaresztowania nikogo z rodziny już nie widziałem. Przewieziono mnie do gmachu sądowego w Nieświeżu i przez tydzień czekałem na sali sądowej na przybywających co dzień kolegów niedoli. Przed wtrąceniem do celi więziennej dokonano szczegółowej rewizji, tj. rozebrano mnie do naga i kazano mi zrobić kilka przysiadów, przy czym zaglądano mi do ust i z odwrotnej strony. Pozbawiono mnie wszelkich papierów, ołówka, lusterka, grzebienia, jak również krzyżyka. Z paczek podawanych mi przez rodzinę otrzymałem tylko bieliznę i tytoń, wszelkie artykuły spożywcze konfiskowano. Nieraz widzieliśmy, mimo zasłon okiennych, jak nasi opiekunowie wybierali skwapliwie żywność z paczek podawanych przez okienko w bramie więziennej. Często otrzymywałem bieliznę ubrudzoną masłem, miodem lub zawierającą okruchy sera, bułki czy chleba.

Wtrącono mnie do celi więziennej wieczorem. Pierwsze wrażenie było okropne. Koledzy moi, których było 36 (a siedzieli oni już parę miesięcy), wyglądali jak trupy. Twarze mieli szare, oczy zapadnięte i niektórzy mieli ogromne brody.

Wszyscy wyglądali na wystraszonych i cierpienie, moralne, jak i fizyczne, było widoczne na pierwszy rzut oka.

Ciasno było ogromnie, bo za polskich władz cela ta mieściła tylko ośmiu–dziesięciu więźniów, którzy mogli się poruszać, względnie spacerować, teraz zaś siedziało nas 37. Spaliśmy tylko

na boku i to na waleta, to jest: pierwszego nogi były u głowy drugiego itd. Łóżek żadnych nie było, spało się na podłodze.

Rozmawialiśmy ukradkiem i szeptem, nie patrząc na siebie, gdyż byliśmy stale obserwowani przez opiekuna z NKWD, który skutecznie swoją obserwację przez otwór zwany judaszem (wołczok). Badania odbywały się wyłącznie nocami. Najczęściej badany wracał dopiero rano. Widać było u niego przemęczenie, przestrasz, czasem rezygnację, a bardzo często sińce i czerwone pręgi, jak również popuchnięte lub poodgniatane części ciała. W większości wypadków więzień był wpychany do celi przez oprawców, bo o własnych siłach już nie mógł wejść.

Czasem było tak, że wezwany na badania wracał po kilku dobach, gdyż w przerwach między badaniami siedział, a raczej stał, w karcerze betonowym, który był tak mały, że można było zrobić tylko jeden krok. Na podłodze – również betonowej – był mocz i kał ludzki, żeby więzień przypadkiem nie usiadł w celu odpoczynku. No i powietrze tam panujące też wywierało pewien wpływ na elokwencję badanego.

Początkowo więźniowie składali się przeważnie z byłych wojskowych, nauczycieli, urzędników, bogatych kupców i obywateli ziemskich, potem zaś zaczęli napływać przestępcy kryminalni, jak złodzieje, bandyci, przemytnicy. Było to mniej przyjemne towarzystwo, bo rozmowy prowadzone w celi zaczęły się wydobywać na zewnątrz i w rezultacie karcer musiał stale przyjmować po dwóch lokatorów. O ile między więźniami politycznymi panowała zawsze zgoda, wręcz przeciwnie zachowywali się kryminaliści. Dochodziło czasem do bójek.

W końcu kwietnia nasi łaskawcy postanowili nas trochę przewietrzyć i tu zobaczyliśmy, że świeże powietrze formalnie zwała nas z nóg, gdyż wszyscy prawie popadali lub posiadali po kilkunastu krokach. Naturalnie od tego dnia zaczęto nas co dzień systematycznie wyprowadzać na spacer. Odbywało się to na podwórku więziennym, specjalnie wysoko okolonym murem. Był to prostokąt o wymiarach 10 na 30 kroków.

W międzyczasie wielu z moich kolegów niedoli odjechało do ZSRR, lecz w celi stale było ciasno i to coraz ciasniej, bo nowi rekruci przybywali regularnie po transporcie, zastępując miejsca ubyłych.

W więzieniu tym przebywałem osiem miesięcy. Po siedmiu miesiącach zostałem osądzony zaocznie przez *osoboje sowieszczanije* na osiem lat przymusowych robót.

Nadmienię jeszcze, że pod względem higieny było okropnie, gdyż wszy się biło dziesiątkami i setkami. W ustępach wszelkie urządzenia były zniszczone. Po sedesach zostały tylko otwory w posadzce o średnicy 12–15 cm. Do ubikacji o pojedynczym sedesie wślaczali nas po 10–15 na kilka minut. Po kilkuminutowym czekaniu na kolejkę zwykle kilku powracało, nie załatwiwszy swoich potrzeb fizjologicznych.

Za mojej bytności zmarł w tym więzieniu towarzysz niedoli, Zatryb, kapitan w stanie spoczynku. Powodem było osłabienie fizyczne i rozstrój nerwowy. Znałem go osobiście, zostawił żonę i dwoje dzieci.

Na ogół NKWD starało się wysyłać słabszych do ZSRR, żeby tu nie mieć kłopotu z pogrzebem (odbywającym się nocną porą) i ze względu na rozgłos wśród ludności.

Wreszcie 25 października 1940 r. wywieziono mnie z Nieświeża do Baranowicz. Tu czekaliśmy kilka dni na transport idący z Brześcia, do którego nas dołączono. Jechaliśmy w wagonach towarowych z okratowanymi oknami. Wagony były połączone kablem elektrycznym i nocami cały pociąg był oświetlony. Jechaliśmy przez: Mińsk, Borysów, Orszę, Wielkie Łuki, Kirów do Kotłasu. W Kotłasie wylądowaliśmy 2 listopada.

Czekaliśmy cierpliwie na wysłanie nas do obozów pracy, gdyż tu był punkt zborny. W Kotłasie wyżywienie było dużo gorsze niż w więzieniu. Rano otrzymywaliśmy literalnie trzy łyżki kaszy, a wieczorem pół litra zupy (wody zabarwionej mąką) i 300–400 g czarnego chleba, ciężkiego jak glina. Przy tym pluskwy nas formalnie zagryzały.

2 kwietnia 1941 r. wywieźli mnie do obozu pracy w Czybju (Komi ASRR) i tam po trzydniowym odpoczynku zaczęliśmy zarabiać na chleb powszedni. Ilość i jakość wyżywienia zależała od możliwości fizycznych każdego. Początkowo wyrabiałem trzeci kocioł, lecz to trwało zaledwie parę tygodni, potem zjechałem na drugi i w końcu na pierwszy.

Tak się pracowało aż do amnestii, kiedy Polaków zwolniono i zaczęto wysyłać do Buzułuku. Odszedł jeden transport – mnie nie wyczytano. Za parę dni drugi – ja znowu zostałem. Stale mówiono, że jeszcze papiery nie nadeszły. Takich jak ja zostało koło 80.

Zaczęliśmy hałasować i domagać się wysłania do polskiej armii. W odpowiedzi na to zrobiono z nas brygadę i wysłano na roboty do tzw. *sztrafnej zony*, gdzie jedzenie się pogorszyło i robota była o wiele cięższa. Tam już apelować nie mogliśmy jako łagiernicy i wielu z nas formalnie opadło z sił.

Pracowałem z panem Romanem Horodyskim, ziemianinem z Wołynia. Był to człowiek inteligentny i wykształcony, wiele ciekawych rzeczy dowiedziałem się od niego. Stale pracowaliśmy ramię w ramię i cały czas prowadziliśmy rozmowy na różne tematy. Wytoczyliśmy granice przyszłej ojczyzny, które pan Horodyski kreślił łopatą na piasku (w zimie na śniegu) i tak uprzyjemnialiśmy sobie pracę. Lecz widocznie nie sądzone nam było spotkanie się w ojczyźnie, bo w grudniu mój kochany towarzysz niedoli tak opadł z sił, że zabrano go do szpitala.

Odwiedzałem go parę razy, ale wywieziono mnie o 15 km [dalej] na inną pracę do karczowania lasu i tu po tygodniu ja poszedłem do szpitala. Wprost przyciągnięto mnie z pracy pewnego dnia i położono w miejscowym szpitaliku. Podczas rozstawania się pan Horodyski prosił mnie, żebym – jeżeli mnie zwolnią – (co przypuszczaliśmy) zawiadomił w jakikolwiek sposób pana generała Andersa, że się znajduje tu, gdyż sam nie ma nadziei na wydostanie się z łagru. Pan Horodyski był osobistym znajomym pana generała, opowiadał mi o tym. 4 marca 1942 r., kiedy zostałem zwolniony spod bagnetu, natychmiast udałem się do dawnego obozu pracy, lecz niestety tam dowiedziałem się od kolegów, że śp. Roman Horodyski już nie żyje. Zmarł z wycieńczenia.

Przy wydaniu dokumentów przez oddział II w Czybju powiedziano mi, że armia polska nie istnieje i, że jak werbowali, to oni mnie zawiadomią, a na razie muszę udać się do kołchozu na pracę.

Dano mi do wyboru kilka miejscowości w Komi ASRR. Ja wybrałem Murasze [Muraszy], gdyż do Muraszy trzeba było jechać przez Kotłas, a będąc w łagrach, słyszałem rozmowę dwóch komendantów, że w Kotłasie jest polski przedstawiciel. No i naturalnie w Kotłasie nawiąłem z pociągu i zaciągnąłem się na listę kandydatów do polskiej armii.

Po kilku dniach, gdy się nazbierało takich jak ja cały wagon, wyruszyliśmy do Guzar [G'uzor], gdzie wstąpiłem do zapasowego pułku piechoty, a potem do Kermine, do 22 pułku piechoty.

W Kotłasie na placówce podałem nazwiska kolegów, którzy zostali jeszcze w łagrach, prosząc, żeby jak najprędzej ułatwić im zwolnienie, gdyż warunki stawały się coraz gorsze, a zachorowania i wypadki śmierci częstsze.

Teraz mamy luty 1943 r., to jest prawie rok, jak opuściłem obóz pracy, a pamięć i ogólny stan zdrowia pozostawiają jeszcze wiele do życzenia, mimo że już jestem podobny do ludzi

zewnątrznie. Robię moc błędów pisząc, czytanie przychodzi mi z trudnością. Czasem pisząc, zastanawiam się nad jakimś słowem tak, jakbym nigdy nie pisał i zdarzyło się mi to pierwszy raz w życiu.